

GOŚCIWIT MALINOWSKI, AGNIESZKA KOTLIŃSKA-TOMA,  
EMILIA ŻYBERT-PRUCHNICKA  
(Wrocław)

## PROFESOR JANINA ŁAWIŃSKA-TYSZKOWSKA (1934–2013). WSPOMNIENIA UCZNIÓW

Gdy odchodzi wykładowca uniwersytetu, akademicka klepsydra zbiera podstawowe dane biograficzne i przybita głosi na drzwiach gmachu głównego, kogo straciliśmy. Gdy odchodzi mistrz, uczniowie zestawiają ostateczną bibliografię książek, artykułów, przyczynków, zapełniają biografię faktami wyrwanymi z akt osobowych i ludzkiej pamięci. Gdy odchodzi uczyony, pozostają stosy książek, maszynopisów, wydruków korekt, listów, zaproszeń, prac cudzych, zaliczeniowych, dyplomowych, recenzowanych, promowanych, które przeglądać, katalogować, archiwizować będą dłonie młodszych kolegów. Ale kiedy odchodzi Prawdziwy Człowiek, nie sposób wspomnieć o nim zamknąć w buchalterii rocznych sprawozdań jednostki i zapisów bibliograficznych. 1 czerwca 2013 r. odeszła od nas osoba wyjątkowa i niezwykła, Profesor Janina Ławińska-Tyszkowska.



Profesor Janina Ławińska-Tyszkowska

Spędziła w naszym Instytucie – obecnie noszącym nazwę Instytutu Studiów Klasycznych, Śródziemnomorskich i Orientalnych – przeszło 60 lat, jako studentka, asystentka, adiunkt, docent, profesor, *emerita*. Sama nieraz żartobliwie mówiła, że życie poza-instytutowe nie istnieje. Nam dziś wydaje się, że Instytut poza nią nie istnieje. Dla nas wszystkich ona była w nim od zawsze, niemal od chwili swych narodzin, gdyż rocznica urodzin Profesor Ławińskiej-Tyszkowskiej przypadała w ten sam dzień co święto Uniwersytetu Wrocławskiego, 15 listopada, stwarzając nam wszystkim okazję do prawdziwego, a nie tylko oficjalnego świętowania.

Wilnianka z urodzenia, jak wielu Polaków wyrzuconych po wojnie z ojczyzny, przyjechała do Wrocławia na studia filologii klasycznej z „ziem odzyskanych”, z Kluczborka. Z Wilna wywiozła garść dziecięcych wojennych wspomnień, o bombardowaniach, pożarach, o pierwszej okupacji sowieckiej, o okupacji litewskiej, o drugiej okupacji sowieckiej, o okupacji niemieckiej i o trzeciej okupacji sowieckiej, która wyгнаła ich z miasta. Pani Profesor daleka była jednak od martyrologii i cierpiętnictwa, szczególnie chętnie dzieliła się anegdotami pogodnymi, przerabiając je nieraz w prawdziwe naukowe zagadki, na przykład językoznawcze. Zapamiętała, że wilniuchy litewskich żandarmów nazywali „kałakutasami” i nie było w tym nic obelżywego, lecz proste skojarzenie czerwonych wyłogów przy mundurach z wyglądem indyka, czyli ptaka z Indii, po litewsku zwanego precyzyjnie ptakiem z Calcutte. Nie z bengalskiej Kalkuty, ale z Kalikatu (dziś Kozhikode) w Kerali, gdzie wylądował Vasco da Gama.

Swojej wileńskiej rodzinie zawdzięczała Pani Profesor biegłą znajomość języka rosyjskiego, którego nauczyła się w domu od rodziców, uczniów rosyjskich gimnazjów, w czasach jeszcze przedrewolucyjnych. Był to zatem „biały” rosyjski, niezsowietyzowany, poznany nie z gramatyk i podręczników, lecz z żywej mowy i arcydzieł literatury. W rozmowy wtrącała niekiedy rosyjskie powiedzonka, miała też swoje ulubione anegdotki jak „Kultpachod w zoopark”, czy „Ach hospodi, pierieliela”.

Czas jej studiów przypadał na szczytowy okres stalinowskiej indoktrynacji na polskich uczelniach. Studia filologii klasycznej, gdzie nauczano łaciny, języka reakcyjnego kleru, były ideologicznie podejrzane dla komunistycznej władzy, nic więc dziwnego, że profesorowie, żyjąc w oczekiwaniu na likwidację kierunku, starali się przetrwać ten okres i nie rzucać się w oczy zetempowskich grasantów. Niewielu odważyłoby się pójść w ślady studentki Ławińskiej, która publicznie w czytelnici okazała swą radość w dniu 5 marca 1953 na wieść o śmierci Józefa Stalina.

Po czteroletnich studiach została asystentką na hellenistycie. Była szczególnie uzdolniona do badań metryki antycznej, dokładność, precyzję łączyła ze świetnym słuchem i poczuciem rytmu. Mogłaby zostać znakomitym badaczem greckich miar wierszowych, gdyby profesor Władysław Strzelecki porzucając Wrocław na rzecz katedry na Uniwersytecie Jagiellońskim nie opuścił swej potencjalnej uczennicy. Nie miała o to żalu. Mawiała, że wtedy wszyscy porzucali Wrocław, bo życie w zrujnowanych, ponemieckich murach miasta wciąż nie było proste. Badania metryczne nie były zatem jej przeznaczeniem, choć do końca swej akademickiej kariery wykła-

dała metrykę dla studentów filologii klasycznej, zadziwiając kolejne roczniki swoim wyczuciem rytmu i zawstydając też niekiedy prymusów o drewnianym uchu prostym, acz niemożliwym dla nich do wykonania zadaniem głośnego wyiktusowania wiersza, gdyż przy takim tradycyjnym wykonaniu metrum trwała przez całe życie. Metryka odgrywała bowiem dla niej rolę służebną wobec wierszowanego przekładu na język ojczysty. Nowy mistrz, a właściwie Szef, profesor Jerzy Łanowski, tłumacz Eurypidesa i Menandra, zachęcił ją do podjęcia się przekładu jednej ze sztuk Arystofanesa.

Próba okazała się nadzwyczaj udana i w ten sposób Profesor Ławińska-Tyszkowska odnalazła się w swojej życiowej roli tłumacza greckiej literatury, przede wszystkim poezji, dramatu. Przełożyła wszystkie komedie Arystofanesa, a jej przekłady są grane na scenie, co jest najwyższym wyróżnieniem, jakie może spotkać tłumacza. Przekładała też Herondasa, Kallimacha, Apolloniusza Rodyjskiego, epigramy z *Antologii*, Filostrata. Przepastne biurko wciąż kryje w sobie odręcznie zapisane kajety z przekładami, czekającymi na druk. Sama Profesor Ławińska o to nie zabiegała, nie była zazdrosna o swe przekłady, o pierwszeństwo. Gdy ktoś znacznie później od niej przełożył jakiś tekst i kierował go do druku, machała ręką i chowała swój przekład głęboko na dno szuflady. Nie tylko przekładała, lecz także poprawiała tłumaczenia kolegów w Instytucie. Całe nowe, pośmiertne wydanie przekładów Eurypidesa autorstwa Jerzego Łanowskiego w serii Biblioteka Antyczna zostało przez nią skrupulatnie skonfrontowane z oryginałem, poprawione do rytmu, a bywało, że i do sensu, bo zdarzało się jej niekiedy mówić w zamyśleniu nad jakimś wierszem Eurypidesa:

– Szefie, ale szef ten wiersz spieprzył!

Poprawiała także przekłady kolegów w innych ośrodkach, niejednen współczesny przekład greckiej prozy, a już zwłaszcza dramatu można dziś czytać tylko dlatego, że to ona poświęciła mu swój czas, wyczucie rytmu i języka ojczystego. I chyba tylko redaktor Ariadna Masłowska-Nowak wie, ile z „Nuny” (tak ją potocznie nazywaliśmy) jest w przekładach sygnowanych innymi nazwiskami. Gdy po latach była już na emeryturze, rok w rok prosiliśmy ją, by zorganizowała dla studentów zajęcia opcyjne z przekładu, z tak modnej dziś translatoryki, którą niekiedy wynosi się wręcz w odrębną dziedzinę nauk humanistycznych, zwaną przekładoznawstwem, Profesor Ławińska-Tyszkowska konsekwentnie odmawiała, mówiąc, że przekłady należy po prostu robić, bo gadać nie ma o czym. Sama jednak nie skąpiła nam podczas rytualnego codziennego picia kawy w okolicach południa co celniejszych kwiatków tłumaczeniowych, czy to autorów młodopolskich, czy to późniejszych adeptów *Professorenlyrik*, czy też całkiem współczesnych tłumaczy. Cierpliwa, wyrozumiała i pogodna, nie miała jednak cierpliwości do przekładów-gniotów, czego sam doświadczyłem, gdy pisząc pracę doktorską pod jej kierunkiem, zamieściłem w niej swój przekład fragmentu poematu Simiasa z Rodos. „Panie Gościwicie, tego się nie da poprawić, przetłumaczyłam to dla pana od początku” – powiedziała, wręczając mi zrobiony w jeden wieczór 13-wersowy, idealny metrycznie i wierny przekład urywku o Pół-psach, plemienu scytyjskim.

Była idealnym promotorem dla doktoranta ceniącego sobie swobodę prowadzenia badań. Nie pouczała, co, jak i w jakiej kolejności badać:

– Pana praca, pan wie najlepiej.

Gdy jednak zaczęły powstawać już gotowe partie dysertacji, czytała je wnikliwie, oddając strony czarne od poprawek, logicznych, językowych, a nawet zwykłych redakcyjnych. A potem jeszcze raz przeczytała całą pracę. A potem, gdy robiłem z niej książkę do druku, przeczytała także tę książkę. Z nie mniejszą dokładnością po latach przeczytała moją pracę habilitacyjną, o co poprosiłem ją już w myśl zasady, że zawsze trzeba najpierw dawać koledze do przeczytania to, co idzie do druku, żeby wyłapał głupie błędy.

Była osobą bez kompleksów, pewną siebie, ale nigdy nie okazującą wyższości, silną osobowością, ale unikającą tego wyścigu szczurów, jaki coraz częściej fundują nam władze polskiej nauki, osobą wolnomyślicielską, ale brzydzącą się prowokatorskimi kabotynami. Przyłapując innych na błędach, bez problemu potrafiła uznać błąd własny, czemu dała wyraz w ostatniej recenzji doktorskiej w swym życiu, podkreślając podczas publicznej obrony, że doktorantka Ewa Szymielewicz lepiej od niej zrozumiała pewną aluzję erotyczną u Arystofanesa. Nie stroniła od mocnego języka, dobitnie wyrażała swoje zdanie o ludziach i o ludzkich sprawach, było to jednak tak naturalne, tak bezpretensjonalne i tak całkowicie wolne od wdzierającego się dziś w przestrzeń publiczną chamstwa, jak proza Haszka, Borchardta czy Nowakowskiego. Miała mocną głowę, wielkie serce i szczery język, nie ma takiej drugiej jak ona.

*Gościwit Malinowski*

\* \* \*

Moja ostatnia rozmowa z Panią Profesor Ławińską-Tyszkowską dotyczyła, o ironio, *goosu*, starożytnej greckiej formy oplakiwania zmarłego, praktykowanego zwykle przez kobiety danego kręgu domowego, improwizowanego śpiewu chwaleńczego zasługi, życie, śmierć, ale także wyrażającego ból, a czasem i gniew po stracie bliskiej osoby, gniew tych, którzy czują się opuszczeni. Chciałabym umieć, jako kobieta jej instytutowego oikosu, zaśpiewać taki *goos*, ale ani żaden oryginalny się nie zachował, ani ja nie potrafię śpiewać. Niechaj to wspomnienie będzie zatem pewnym substytutem starożytnej formy żegnania bliskich.

Rozmyślając nad formą tego pożegnania oraz wspomnieniami, którymi chciałam się podzielić, szukałam swego rodzaju natchnienia w wielkim, wspólnym dziele Pani Profesor i jej starego przyjaciela Arystofanesa. Tłumaczenia kongenialne mają bowiem to do siebie, że są dziełem nie tylko autora, ale i tłumacza. Wydawać by się mogło, że znalezienie wersów godnych takiego pożegnania w komedii nie jest możliwe. A jednak. W jednej z ulubionych sztuk Pani Profesor, w *Sejmie kobiet*, chór, który kończy już taneczny korowód eksodosu i kieruje ostatnie słowa do publiczności, mówi:

Mądrzy niech – o mej mądrości pamiętając – sądzą mnie,  
ci, co śmiech wesoły lubią – za mój śmiech niech sądzą mnie!<sup>1</sup>

Chór w dramacie greckim jest nauczycielem, słowami pełnymi humoru lub patosu walczy ze sceny z bezmiarem głupoty i niedojrzałości społecznej starożytnych Ateńczyków. Taką właśnie walkę toczyła współcześnie swoją mądrością i śmiechem Pani Profesor, na sali wykładowej, w małych grupach seminaryjnych, swoją pracą naukową i translatorską.

Moje osobiste doświadczenie jako uczennicy Pani Profesor rozpoczęło się na seminarium poświęconym epigramatowi erotycznemu w *Antologii palatyńskiej*. Nie badaliśmy jakichś wydumanych modeli genderowych ani zachowań seksualnych starożytnych. Czytaliśmy epigramy! Takimi, jakie są, a co ważniejsze, takimi, jakie były przed dwoma tysiącami lat. Analizowaliśmy tę małą formę poetycką w kontekście zarówno poetyki antycznej, jak i życia codziennego, ale przede wszystkim przedniósmy się tą literaturą bawili. Pani Profesor zmuszała nas do wyjścia poza smętne ramy słownikowych przekładów, mawiając „filolog słów się nie boi”. Nie tolerowała słów-erzaców – tłumaczenie musiało być autentyczne, nawet jeśli zmuszało to grzeczne panienki do użycia sformułowań uznawanych powszechnie nie tylko za nieparlamentarne, ale nawet nieprzyzwoite.

Patrząc na jej dorobek naukowy, znajdziemy wiele cennych i uczonych prac, świetnych analiz i syntez, ale szerokie grono czytelników powinno być jej zawsze wdzięczne za przekłady. Jednym z najważniejszych celów filologa klasycznego jest przybliżyć literaturę antyczną, zachować ją od zapomnienia – i nie ma lepszego wypełnienia tego celu niż czas swój i talent poświęcić na przekłady. Dzięki temu autorzy sprzed dwóch tysięcy lat przemawiają współczesnym głosem i językiem. Profesor Ławińska-Tyszkowska walczyła o przekłady autentyczne, o przekłady bliskie oryginałowi nie tylko pod względem językowym, ale atmosfery, wydźwięku, melodii i rytmu języka – słowem, tego wszystkiego, co stanowi istotę literatury.

Już jako doktorantka na prawach asystenta uczestniczyłam w jej seminariach kierowanych do młodszych roczników. Prawdziwe seminaria miały jednak miejsce w zupełnie innych okolicznościach. Ja przychodziłam do swojego pokoju dosyć wcześnie, zwykle po szóstej, ale życie rozpoczynało się dopiero około południa, kiedy żwawym krokiem wkraczała Pani Profesor. Przed lub po zajęciach zawsze, codziennie, miała czas, by zasiąść z nami wszystkimi, ktokolwiek był wówczas w pokoju, i omawiać wszelkie bieżące sprawy. „Bieżące” oznaczać może w tym wypadku wydarzenia sprzed dwóch tysięcy lat, które akurat były przez nas badane. O autorach starożytnych miała zwyczaj mówić jak o starych znajomych. Jej wielkie wycucie filologiczne i intuicja oraz setki, jeśli nie tysiące, przeczytanych tekstów sprawiały, że знаła antycznych pisarzy tak, jakby sama była ich ostatnią uczennicą.

<sup>1</sup> Aristoph. *Eccl.* 1155–1156, przeł. Janina Ławińska-Tyszkowska.

Poniekąd pewnie była. Uwielbiała wprost, gdy stawiali przed nią wyzwania, kiedy chcieli ukryć przed nią jakieś tajemnice, a ona z wrodzoną sobie łatwością po prostu rozszyfrowywała ich teksty. Radosny i pełen skrytej satysfakcji śmiech oznajmiał nam, że oto za chwilę zapyta, patrząc na jakiś niedawno odkryty, niezmiernie trudny do przełożenia tekst, czy problem przyniesiony na skrawku papieru:

– No, młodzieży, a co to jest?

Ona już знаła odpowiedź. Spotkania te odbywały się codziennie, co pragnę jeszcze raz podkreślić. Nie dozowała nam czasu raz w tygodniu na jakimś dwugodzinnym seminarium. Spotykała się z nami na zasadach jakby towarzyskich, przekazując swoją wiedzę bezboleśnie, bez jakiś formalnych ram. Formalności zresztą nie cierpiała, podobnie jak czołobitności i pustej hierarchii wynikającej z nagromadzenia tytułów. Wszystkich traktowała równo, z należnym im szacunkiem. Była niewyobrażalnie skromna i otwarta, pełna energii i wewnętrznej radości, którą potrafiła zarazić wszystkich obecnych.

Pani Profesor miała zbyt wiele umiejętności, by kontynuował je jeden jedyny, nawet najlepszy uczeń. Wypuściła w świat trzydziestu magistrów. Wypromowała czterech doktorów: Marka Krajewskiego, otrzymanego w niepisanym testamencie po profesorze Herbercie Myśliwcu, dlatego że ona właśnie jak nikt inny miała talent do metryki i wersyfikacji, a tej dziedziny dotyczyła praca dr. Krajewskiego. Ze swym uczniem dr. hab. Gościwitem Malinowskim dzieliła zainteresowania przyrodnicze. I w tej dziedzinie wiedza jej była imponująca i zaskakująca. Z pasją potrafiła rozprawiać o zwyczajach czy trybie życia różnych gatunków fauny i flory, szczególnie w kontekście starożytnych tekstów. Dr Emilię Żybert-Pruchnicką wypatrzyła sobie nie tylko ze względu na wspólne umiłowanie hellenistycznej poezji, ale także dlatego, że w końcu los dał jej uczennicę z talentem translatorskim. Mnie zaś wyuczyła dramatu, wyrażając troskę o przyszłość i kontynuację wrocławskiej szkoły badania greckiej literatury scenicznej.

Prawda jest jednak taka, że jej równie prawdziwymi uczniami, co my, byli wszyscy, którzy z nią przebywali. Wielu studentów i doktorantów, choć formalnie broniło się pod opieką kogoś innego, zawdzięcza jej swoją filologiczną formację. W ciągu ostatnich miesięcy wiele osób podchodziło do mnie i opowiadało, jak wiele otrzymali od Pani Profesor.

Wszystkich swoich uczniów ceniła i szczerze lubiła. Była otwarta, przyjacielska i przede wszystkim życzliwa. Obdarzyła nas jednak największym darem, jaki może otrzymać myślący człowiek – wolnością. Nigdy nie narzucała nam niczego, absolutnie niczego, w pełni ufając, że ludzie, których wybrała, potrafią sami formułować wnioski i kierować swoimi zainteresowaniami. Nie narzucała nam trybu pracy, nie narzucała poglądów, nie narzucała gotowych rozwiązań. Czasem tylko życzliwie obśmiała niemądre pomysły. Była zawsze obecna, gdy potrzebowaliśmy rady, codziennie w tym samym fotelu. Nie zobowiązując nas do niczego oczekiwała efektów i mimo to, a może właśnie dlatego, zawsze terminowo dostawała prace. Wymagała od nas samodzielności i bezwzględnej odpowiedzialności za podjęte naukowe decyzje. Zarazem pragnęła, byśmy czuli, że jesteśmy jej partnerami, i że



ona się od nas czegoś uczy, że nauka i wiedza nie są ulicą jednokierunkową. Lubiła podkreślać, że uczymy się po to, by wiedzę powiększać i oddawać.

Była osobą niezłomną, o ogromnej sile charakteru. Dzięki tej sile dominowała nie tylko nad otoczeniem, ale w ostatnich latach także nad swym schorowanym ciałem. Nigdy się nie poddawała. Snuła wiele planów naukowych na przyszłość. Najpilniejsze wydawało się dokończenie i opracowanie tłumaczeń, które od lat czekały na jej prawdziwą emeryturę, na czas, w którym przestanie prowadzić zajęcia i w pełni poświęci się tekstom. Udało nam się ją namówić, by priorytetem stał się przekład dzieł Kallimacha. Powołałyśmy niewielki, trzyosobowy zespół, w skład którego miałam zaszczyt wchodzić wraz z dr Żybert-Pruchnicką. W wir prac nad Kallimachem wciągnęłyśmy także panią profesor Szastyńską-Siemion, która pełniła w naszym małym konsorcjum tłumaczeniowym rolę agathodaimona oraz pierwszego krytyka. Teksty krążyły żwawo z rąk do rąk, sprawdzanie, czytanie, liczenie, telefoniczne konsultacje, krótko mówiąc – radosna kwintesencja filologicznego życia. Pani Profesor zaczęła wyszukiwać inne swe niedokończone projekty, ostatni rok dał nam szczególną nadzieję, że wkrótce odda do rąk polskiego czytelnika wiele nowych, wspaniałych tłumaczeń greckiej literatury. Uwierzyliśmy, że jest niezniszczalna. Ja uwierzyłam, że ta praca będzie jeszcze trwać lata, że mamy przed sobą dużo czasu. Pani Profesor, mimo że narzekała i czasem w niewybredny sposób, choć ze śmiechem, informowała nas o tym, co myśli o nowej pracy, tak naprawdę wewnątrz siebie się nią cieszyła, jej błyskotliwy umysł potrzebował wciąż nowych wyzwań. Przez lata niezrównanie prowadziła wykłady, ciesząc się, gdy młodzi ludzie stawiali jej trudne pytania. Jej pasja życia i nauki była zaraźliwa, choć trudno było dotrzymać jej kroku. Przez lata była niestrudzenie, dzień po dniu do dyspozycji pracowników, zawsze gotowa pomóc, nie tylko w problemach natury naukowej, ale także osobistych. Nie szczędziła nam bowiem także swej mądrości i doświadczenia w kwestiach natury życiowej. Swoją postawą człowieka wolnego od wszelkiego przywiązania do dóbr materialnych uczyła, jak małą wartość ma pogoń za pieniądzem i czczynymi zaszczytami. Przebywanie z nią było zawsze budującym doświadczeniem, napawało wiarą w dawno zapomniane ideały, szczególnie ideały życia uniwersyteckiego.

Pamiętam, że kiedy zbliżało się popołudnie, zwykła kolokwialnie mawiać niby do siebie, niby do nas:

– No, trza już iść!

Potem wstawała z fotela, zabierała swoje rzeczy i czasem, stojąc w drzwiach odwracała się i mówiła:

– A wy jesteście jeszcze młodzi, to siedźcie i pracujcie.

Teraz, skoro nasze wahadłowe drzwi zamknęły się za nią bezgłośnie, tak jak lubiła, po raz ostatni, nie pozostaje nam nic innego, jak siedzieć i pracować, zadała nam zresztą bardzo dużo. Jesteśmy jej winni tak wiele, przede wszystkim by uczyć, i by uczyć dobrze, bezpretensjonalnie i z pasją. By tłumaczyć, dać współobywatelom mądrość starożytnych i wbrew współczesnym tendencjom walczyć o antyk jako podstawę wykształcenia człowieka. Wszystko, czego w życiu dokonamy, jeśli

tylko będzie to dobre i autentyczne, będzie w dużej mierze zasługą Pani Profesor. Była naszym wielkim didaskalosem, nauczycielem i mistrzem. Zawsze będziemy dumni z tego, że przyjęła nas jako uczniów. Zawsze pozostanie w naszej wdzięcznej pamięci.

*Agnieszka Kotlińska-Toma*

\* \* \*

Kiedy zaczęłam studiować filologię klasyczną na Uniwersytecie Wrocławskim, nie wiedziałam, kim jest Pani Profesor Janina Ławińska-Tyszkowska. Nie prowadziła zajęć z pierwszorocznymi studentami, nie miałam zatem okazji jej poznać. Zwłaszcza że, jak rozumiałam kilka lat później, była osobą bardzo ceniącą swoją prywatność, a wszelkie obowiązki reprezentacyjne, które miała ze względu na swoją naukową i translatorską działalność, wypełniała rzetelnie, lecz bez większego entuzjazmu.

Można więc śmiało powiedzieć, że w tamtym czasie nie wiedziałam nic zgoła o charakterze Pani Profesor. Aż pewnego zimowego popołudnia wraz z moim rokiem, składającym się zresztą z samych studentek, uczestniczyłam w zajęciach, których treść oraz sama postać wykładowcy zatarły się zupełnie w mojej pamięci. I pewnie całkiem odeszłyby w niebyt, gdyby nie pewien epizod, który je przerwał. W środku wykładu usłyszałyśmy nagle kroki na korytarzu, który wiódł do szklanych drzwi. W tym miejscu należy pokrótce wyjaśnić ich specyfikę: otóż zamyka się je zawsze, gdy nikogo nie ma w sali ćwiczeniowej znajdującej się za nimi, ponieważ na ścianach korytarza mieszczą się półki z książkami. Kiedy jednak ktoś zostaje sam w jedynej, oprócz gabinetów, znajdującej się tam sali, zwykle zostawia się uchylone drzwi do niej, aby wykładowca podczas zajęć mógł prowadzić dyskretny nadzór nad integralnością księgozbioru. Wracając do kroków: te nagle ucichły pod drzwiami, które otwarły się i zobaczyłyśmy najpierw siwą głowę w okularach, a potem usłyszałyśmy głęboki, chropawy kontralt:

– Zostawiam tu szparę.

Nastąpiła pauza, po której jak w doskonale wyliczonym takcie muzycznym doszło nas pytanie:

– Nie przeszkadza paniom szpara, prawda?

Od tego czasu nie miałam już żadnych kłopotów z rozpoznaniem Pani Profesor na korytarzu.

Po raz ostatni widziałam ją w szpitalu. Był koniec maja, padał deszcz, a ona była w dobrym nastroju, co wywnioskowałam z tego, że strofowała pielęgniarki. Rozmawiałyśmy trochę o Kallimachu i jego *Hymnach*, które ona przetłumaczyła, a ja układałam przypisy oraz wprowadzenie. Przyniosłam jej wtedy kolejną partię tekstu, który obiecała sprawdzić. Umówiłyśmy się na początek przyszłego tygodnia i zaczęłyśmy rozmawiać o różnych instytucyjnych sprawach. Pani Profesor była świetnie zorientowana w tym, co działo się wtedy na uczelni, ponieważ w szpitalu



odwiedzała ją cała masa ludzi, a jeszcze więcej dzwoniło na telefon komórkowy, który, można tu dodać, zaakceptowała jedynie dlatego, że przydawał się podczas choroby. Po obiedzie pożegnałam się i wyszłam na korytarz szpitala, który mieści się w dość ładnym, neogotyckim budynku z cegły. Na szerokiej klatce schodowej były wielkie, łukowate okna, za którymi stały kasztanowce w pełnym rozkwicie. Nie wiał wiatr, deszcz padał cicho, nikt nie szedł. Patrzyłam na drzewa i chciałam, żeby ta chwila wciąż trwała. Stałam tam długo, wreszcie trzeba było już ruszyć dalej, do zwykłych spraw i obowiązków. W trzy dni później dowiedziałam się, że umarła. I choć dostałam z powrotem teczkę z tekstem, który obiecała poprawić, wciąż nie mogę się przemóc, by sprawdzić, czy to zrobiła.

Między tymi dwoma wspomnieniami, czyli na przestrzeni niemal piętnastu lat, spotykałam Panią Profesor wielokrotnie. Wpierw na zajęciach, jako studentka. Potem stałam się dla niej bardziej rozpoznawalna, ponieważ na jednym z wykładów o poezji aleksandryjskiej, dla zabawy, cały rok (aż pięć osób!) przetłumaczył 100 wersów z *Argonautyk* Apolloniosa z Rodos: dwie próby translatorskie zostały przez Panią Profesor uprzejmie pochwalone, wśród nich moja. To wydarzenie miało dla mnie arcyważne znaczenie, ponieważ od tego momentu postanowiłam przetłumaczyć całość eposu, a kiedy nieśmiało zwierzyłam się z moich planów Pani Profesor, wzruszyła tylko ramionami i powiedziała, że skoro chcę, to powinnam to zrobić. Nie wysuwała zastrzeżeń, nie ostrzegała przed trudnościami, uważała po prostu, że każdy powinien robić to, czego naprawdę pragnie. Dopiero później dowiedziałam się, że sama już wcześniej przetłumaczyła passusy tego utworu, lecz jeśli nosiła się z planami oddania całości w języku polskim, żadnym słowem ani gestem mi tego nie zasugerowała. Potem recenzowała moją pracę magisterską o polskich przekładach pieśni Horacego, wreszcie zgodziła się opiekować moją dysertacją doktorską, której częścią miał być przekład całości *Argonautyk*. Tu tylko nadmienię, że pisanie pracy pod jej kierunkiem było niespodziewanie komfortowym doświadczeniem, ponieważ z jednej strony pozostawiała mi bardzo wiele swobody, z drugiej jednak czułam, że w sposób dyskretny, lecz pewny utrzymuje nad nią kontrolę. Następnie, kilka lat po obronie, od czasu, gdy zachorowała poważnie po raz pierwszy, odwiedzałam ją w szpitalu, a potem zaczęłam także bywać u Pani Profesor w jej domu. Tam poznałam Pana Wiesława, męża Profesor Ławińskiej-Tyszkowskiej, i wkrótce utarł się zwyczaj, że raz na miesiąc lub dwa, zawsze w piątek w południe, przychodziłam do nich w odwiedziny. Często w tych spotkaniach uczestniczyła też profesor Alicja Szastyńska-Siemion, dr Danuta Łowicka i dr Małgorzata Wróbel. To były cudowne chwile, kiedy przy butelce Trzech Dziewiątek, jednego z ulubionych trunków Pani Profesor, zagorzałej wilnianki, toczyły się rozmowy i wspomnienia dotyczące czasów dawnych i obecnych. Nasiąkałam tą wiedzą, poznawałam bliżej postaci dawnych słynnych wykładowców na naszej Filologii Klasycznej: profesora Jerzego Łanowskiego, profesora Ludwikę Rychlewską, profesora Herberta Myśliwca i wielu innych. Przez te dwie godziny chłoniłam atmosferę dawnego Instytutu, która stanowi przeciwieństwo jego obecnym charakterze. Lecz nie tylko przeszłości dotyczyły te spotkania, bo zajęciem, któremu Pani Profesor oddawała się z wielką przyjem-

nością, była lektura książek *fantasy*. A ponieważ także mój syn jest wielbicielem *fantasy*, mogłam wielokrotnie przynieść Pani Profesor powieści, które polecał. Nie zawsze jednak wybór był trafny: często dostawałam z powrotem niefortunne książki, których ocenę zbywała wzruszeniem ramion. Te jednak, które jej się podobały – a było ich mniej niż tych drugich – zostawiała sobie do ponownej lektury. Zresztą każdy, kto wszedł w progi jej domu, natychmiast mógł się przekonać, że mieszka w nim miłośniczka literatury spod znaku magii i miecza, ponieważ cała ściana długiego korytarza wyłożona była książkami w barwnych okładkach, których grzbyty ozdabiała postaci magów, czarownic, herosów i smoków. Składały się na wspaniałą kolekcję książek *fantasy* z ostatnich dwudziestu lat, przypuszczalnie jedną z bogatszych w kraju.

Widzę, że nieświadomie zaczęłam i kończę obrazem korytarza wypełnionego po sufit półkami książek. To bardzo symboliczna wizja, ponieważ Pani Profesor żyła literaturą, w literaturze i dla literatury. Książki w ogóle, a słowa w szczególności stanowiły – przynajmniej w czasie, kiedy ją poznałam – treść i prawdziwą namiętność jej życia. Doskonale znała nie tylko grekę, lecz także język polski, którym operowała z prawdziwym mistrzostwem. To dzięki temu darowi mamy teraz okazję czytać po polsku kongenialne przekłady komedii Arystofanesa, mimów Herondasa i hymnów Kallimacha. Zapamiętam ją także jako osobę, która miała cudowny dystans do rzeczywistości, niezapomniane, bezkompromisowe poczucie humoru oraz zdrowy rozsądek, który zawsze pozwalał jej zachować trzeźwy ogląd sytuacji. Nie znam też nikogo, kto by przeklinał w tak wspaniały i kwiecisty sposób co ona, po polsku i rosyjsku zresztą. Do ostatnich chwil zachowała jasny umysł i mocną głowę. Będzie mi jej bardzo brakowało.

*Emilia Żybert-Pruchnicka*

#### ARGUMENTUM

*Tres collegae, prius autem discipuli Ianinae Ławińska-Tyszkowska narrant de ea doctissima humanissimaque femina, profestrice Universitatis Wratislaviensis, scrutatrice litterarum Graecarum, quae, inter alia, omnes comoedias Aristophanis mimosque Herondae in linguam Polonicam vertit.*